

EMANUEL BERGMANN

TRIK

Powieść pełna
niezwykłego humoru
i magii



EMANUEL BERGMANN

TRIK

Przełożył
Ryszard Wojnakowski



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tytuł oryginału
Der Trick

Copyright © 2016 by Diogenes Verlag AG Zurich
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2020

Redaktor
Agnieszka Horzowska

The translation of this work was supported by a grant from the Goethe-Institut.
Tłumaczenie książki wsparł Goethe-Institut

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracji
Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2021

ISBN 978-83-8188-126-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl
DTP: AKAPIT, Poznań, 61-879-38-88

Świat, jaki jest i jaki być powinien

Na początku dwudziestego wieku żył w Pradze Lejb Goldenhirsch. Był skromnym człowiekiem, rabinem, uczonym w Piśmie, który postawił sobie za zadanie zrozumienie otaczających nas tajemnic. I zadaniu temu poświęcał się duszą i ciałem. Dzień w dzień, godzina za godziną rozmyślał nad Torą, Talmudem, Tanachem, czyli hebrajską Biblią, i podobnymi lekturami równie pasjonującej treści. Po latach nauki i nauczania zyskał jakieś wyobrażenie o tym, jaki jest świat, a przede wszystkim, jaki właściwie powinien być. Wyglądało bowiem na to, że istnieją pewne rozbieżności między świetlistą wspaniałością dzieła stworzenia a irytującym i deszczowym dniem powszednim, przez który musimy się wlec my, ludzie. Uczniowie rabina ceniili go, przynajmniej ci bardziej pojętni. Jego słowa rozjaśniały ciemności bytowania niczym światło świecy.

Z żoną Ryfką mieszkał w nędznym domu czynszowym blisko Wełtawy. W mieszkaniu składającym się z jednego tylko pokoju mieściło się niewiele więcej niż stół kuchenny, piec opalany drewnem, zlew i łóżko, które podczas każdej szaba-

towej nocy skrzypiało rytmicznie, bo taki był obowiązek i tak stało napisane.

Na półpiętrze znajdował się cud nowoczesności, a mianowicie waterklozet. Ku swemu codziennemu utrapieniu Goldenhirschowie musieli go dzielić z sąsiadem z góry, tumanem o imieniu Mosze, który był z zawodu ślusarzem i ciągle głośno kłócił się z żoną, niemiłym babskiem.

Rabbi Goldenhirsch żył w czasach wielkiego postępu technicznego, który go jednak prawie nie interesował. Znaczące zmiany nowego stulecia ledwie go dotykały. Przed kilkoma laty wymieniono na przykład uliczne latarnie gazowe na elektryczne, co niektórzy uważali za dzieło diabła, inni zaś za socjalizm. Wzdłuż brzegu rzeki położono też stalowe szyny, po których jeździły tramwaje, sypiąc z zapalem iskry.

Tak więc na co dzień wyglądał ów czar nowej epoki.

Lejb Goldenhirsch niewiele mógł z tym wszystkim począć. Z tramwajem czy bez życie nadal było ciężkie. Wytrwale i skromnie pędził żywot, jak od wieków robili to europejscy Żydzi i jak przypuszczalnie będą dalej robić przez następne wieki. Rabbi prosił o niewiele i w rezultacie niewiele też otrzymywał.

Jego twarz okolona czarną brodą była szczupła i blada. Miał ciemne oczy, które bacznie i z pewną dozą nieufności obserwowały, co się wokół niego dzieje. Po wypełnieniu wszystkich obowiązków rabbi kładł głowę na poduszce obok swojej ukochanej Ryfki, silnej, pięknej kobiety o szorstkich dłoniach, łagodnym spojrzeniu i kasztanowych włosach. Czasami, w przelotnych momentach, zanim zmorzył go sen, wydawało mu się, że może oglądać przez sufit nocne niebo. Szybował wtedy i unosił się jak liść na wietrze, i patrzył z góry na małą Ziemię w dole. Choć życie może i było męczące, to zza zasłony codzienności prze-

bijała wspaniałość tego świata, która zachwycała go wciąż na nowo.

– Już samo nasze istnienie, samo to, że żyjemy – zwykł mawiać Lejb – jest modlitwą.

Ale ostatnimi czasy często nie mógł w nocy spać i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Irytowało go, że w epoce technologicznych cudów nie ma już chyba miejsca na prawdziwe cuda. Ich bowiem rabbi Goldenhirsch prawdziwie potrzebował.

W jego życiu brakowało syna. Spędzał niezliczone godziny na wychowywaniu cudzych synów – jeden w drugiego durniów – a kiedy patrzył na ich twarze, wyobrażał sobie, że pewnego dnia ujrzy wśród nich oblicze własnego dziecka. Do tej pory jego modlitwy nie zostały jednak wysłuchane. Dla innych wschodziło słońce, ale nie dla Lejba i Ryfki. Niejedną noc namęczył się na żonie, cóż, kiedy bezowocnie. Z czasem więc łóżko skrzypiało coraz rzadziej.

Nowe stulecie było jeszcze młode, kiedy wybuchła wojna. W zasadzie nie było w tym nic niezwykłego. Wojny wciąż się zdarzały, podobnie jak przypadki grypy. Tym razem było jednak inaczej, tylko Lejb i Ryfka Goldenhirschowie na razie tego nie zauważyli. Zaczęła się Wielka Wojna, która miała niebawem pochłonąć miliony ofiar. I nie grypa, tylko zaraza. Uczniowie rabbiego zaczęli zadawać pytania i prosić go o wyjaśnienia, a on po raz pierwszy w życiu zetknął się z czymś, co wymykało się jego pojmowaniu. Do tej pory mógł zawsze zdać się na niezawodne, choć zagadkowe ścieżki Pana, ale wojna bynajmniej nie miała boskiego pochodzenia, lecz była dziełem ludzi. Rabbi był bezradny. Stał z otwartymi ustami przed rządkiem swoich

uczniów i się jąkał. Znał fakty, ale ich głębszego znaczenia nie potrafił dociec. Naturalnie wiedział, że arcyksiążę Franciszek Ferdynand zginął w Sarajewie z ręki tchórzliwego skrytobójcy. Sarajewo leżało jednak daleko od centrum cywilizowanego świata, gdzieś w głębi Bałkanów, co ludzi obchodziło, kto kogo tam zastrzelił? Przecież goje ciągle do siebie strzelali. Co za różnica, czy po ziemi będzie chodził jeden arcyksiążę mniej czy więcej? Oczywiście każde ludzkie życie jest bezcenne, a gwałtowna śmierć zadana drugiemu jest w oczach Boga hańbą i tak dalej, rabbi wiedział też, że Jego Cesarską Mość cesarza Austro-Węgier, któremu on i mieszkańcy Pragi winni wierność i posłuszeństwo, trawi zrozumiała zgryzota, tyle że, z ręką na sercu, co ich to obchodzi?

Ale najwidoczniej obchodziło. W ciągu paru miesięcy ulice Pragi ogarnął niepokój. Starsi miotali się w kawiarniach od stolika do stolika, zaciskając pięści i wymachując zmiętymi gazetami. Każdy próbował zrozumieć i uporządkować najnowsze działania na jednym czy drugim froncie. Na placu Wacława kłębił się tłum kobiet wymieniających wieści o swoich synach i małżonkach, braciach i ojcach, którzy z zapalem wyruszyli na wojnę. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że większość tych mężczyzn nigdy nie wróci do domu. Zbyt młodzi, żeby walczyć, czytali listy rannych i poległych, jakby chodziło o wyniki rozgrywek sportowych. Ilu tamtych? Ilu naszych? Młodzież była wojownicza i wkrótce miała otrzymać szansę wykazania się. Wojna szalała bowiem przez lata i nie była wybredna: pochłaniała wszystkich.

Także Żydów.

I zdarzyło się, że pewnego słonecznego dnia Lejb Goldenhirsch został powołany do cesarsko-królewskiej armii sędziwego Franciszka Józefa. Kiedy Ryfka wróciła z targu i zastała

swojego zgarbionego, chudonogiego męża w mundurze, zapłakała gorzkimi łzami. Stał przed jedynym lustrem i z widocznym zakłopotaniem patrzył na siebie i swój mundur. Podał jej bagnet.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał.

– Wbić w brzuch jakiegoś Ruska – odparła.

Daremnie walczyła z ponownie wzbierającymi łzami. Odwróciła się i zasłoniła twarz.

I tym sposobem Lejb Goldenhirsch opuścił dom i pomaszerował na wojnę, której nadal nie rozumiał.

Ryfka zaś musiała radzić sobie bez męża, co okazało się nadzwyczaj łatwe. Ze zdziwieniem stwierdziła, że w prowadzeniu gospodarstwa domowego był zupełnie bezużyteczny. Mimo to brakowało go jej. Nigdy dotąd nie tęskniła tak gorąco za czymś tak niepotrzebnym.

Prawie codziennie Ryfka opuszczała miasto i udawała się w lasy daleko za Pragą. Za każdym razem dźwigała wiaderka z węglem, który wymieniała w chłopskich zagrodach na masło i chleb, gdyż lepiej było marznąć, niż cierpieć głód.

Latem, kiedy dni były ciepłe, napotykała większe trudności w swoim handlu. Musiała zdobywać na wymianę inne dobra, a masło chować pod spódnicą, bo wszędzie czyhało niebezpieczeństwo. Często wracała z pustymi rękami, zwłaszcza gdy w okolicy wybuchały walki, i ukrywała się w lesie, dopóki zagrożenie nie minęło. Wtedy nie pozostawało jej nic oprócz ciepłego śladu roztopionego masła, które ściekało po udach.

Pewnego wieczoru we wrześniu po powrocie do domu zastała na schodach ślusarza Moszego. Miał na sobie brudny mundur rekruta i płakał. Jęczący dryblas przedstawiał osobliwy widok. Jego barczyste ramiona się trzęsły, głowa kołysała. Z potężnej piersi dobywał się głęboki, żaloszny szloch. Podeszła do niego

i zapytała, co się stało, a on opowiedział jej, że przyjechał z frontu na kilkudniowy urlop, ale ledwo wszedł do mieszkania, żona oświadczyła mu, że go opuszcza. A nie miał od niej wieści już od dłuższego czasu. Żadnych listów, nic, mówił, łkając. Ryfka ulitowała się nad nim, żona ślusarza wydawała jej się niezbyt sympatyczna, nie zaskoczyło jej więc, że po prostu go rzuciła.

Wzięła go w ramiona i pocieszyła. Masło wciąż jeszcze oblepiało jej uda.

Jasnym przedpołudniem w środę Lejb Goldenhirsch wrócił do domu. Utykał, lecz był w wyśmienitym humorze. Ryfka szyła właśnie koszulę, kiedy drzwi się otworzyły. Podniosła wzrok i zobaczyła go w progu. Wychudł jeszcze bardziej. Igła i nici wypadły jej z rąk, kiedy rzuciła mu się w wątle ramiona. Ależ był wymizerowany! Czula każdą jego kość. Trzymał ją w objęciach najmocniej, jak umiał. Łzy radości spływały jej po twarzy.

– Dobre wieści – powiedział i uniósł bagnet. – Rusek pierwszy wbił mi swój. Leżałem w lazarecie.

Rana Lejba na szczęście nie była groźna, pokazał Ryfke bliznę na udzie. Jego przełożony wstawił się za nim, żeby nie musiał już wracać na front i mógł się wykurować w sanatorium w Karlowych Warach. Utykał, był więc oficjalnie inwalidą wojennym. Usiadł. Kiedy Ryfka dała mu chleba i poprosiła, żeby opowiedział jej o wojnie, uśmiech zamarł mu na wargach i wydawało się, że patrzy na nią niewidzącym wzrokiem. Zamknął jej dłonie w swoich rękach i ucałował czule koniuszki palców. Patrzyła mu pytająco w oczy, ale znajdowała w nich tylko ciemności. Pokręcił głową i w ten sposób zawarł milczące porozumienie, że nie będą o tym rozmawiać.

Niecałe trzy tygodnie później, po czterech latach, nastął wreszcie pokój. Wojna, która miała położyć kres wszystkim wojnom, dobiegła końca. Ludzie świętowali na ulicach. Zapowiadał pokój, nareszcie pokój! Ale bez chwalebego zwycięstwa, o którym marzono. Przypominało to wybudzenie się z koszmaru. Ci, którzy ocaleli, pili i śpiewali, z ulgą, że jeszcze żyją. Wyśpiewywano na całe gardło, tańczono, wybito szyby w paru oknach, jak to jest w zwyczaju przy radosnych okazjach, ale nad całym krajem rozciągało się zawstydzone zmęczenie. Ludy Europy miały dość walki, zabijania i umierania, przynajmniej na razie. W Niemczech i w Rosji wybuchły rewolucje. Zamordowano cara wraz z rodziną. Niemiecki cesarz, który przebywał na urlopie, postanowił już nie wracać. Z Królestwa Czech powstała Republika Czechosłowacka. W sumie były to dobre nowiny, ale nie tak dobre jak ta, którą Ryfka miała dla Lejba:

– Jestem w ciąży.

Jej mąż oniemiał z wrażenia, nie mógł tego pojąć. Jak to możliwe? No dobrze, po jego powrocie łóżko porządnie trzeszczało przez kilka nocy, ale czy nie za wcześnie, żeby zauważyć oznaki ciąży? Tyle że pod sukienką Ryfki zaokrąglił się już mały brzuszek.

Lejb zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem, kaftan na nim łopotał jak skrzydła spłoszonego gołębia. Kiedy Ryfka zerknęła w stronę okna, przysła jej do głowy pewna myśl. W co takiego wierzyli goje? Co powiedziała rzekoma dziewica Maria do swojego Józefa?

– To cud – zawołała Ryfka.

– Że co? – spytał.

– Bóg dokonał dla nas cudu.

I powiedziawszy to, spuściła oczy w nadziei, że będzie wy-

glądać stosownie pobożnie. Zmusiła swoje wargi i ręce do lekkiego drżenia, bo przypomniała sobie mgliście, że cudom towarzyszy tremolo.

– Cud? – Lejb był zdumiony, ale i nieufny. Jako rabin uważał się za swego rodzaju eksperta w dziedzinie cudów. A ten akurat wydał mu się podejrzany. – *Tojff, gewalt!** – zawołał.

– Rozejrzyj się – zaapelowała błagalnie Ryfka. – Wszystko, co mamy, zawdzięczamy Bogu. Wszystko! Dlaczego więc nie miałby sprawić dla nas także cudu? Przecież wiedział, jak bardzo pragniesz syna. – A o tym, że to będzie syn, była przekonana, tak czuła. Podeszła do Lejba i położyła mu rękę na ramieniu, po czym szepnęła do ucha głosem słodkim jak miód: – Bóg spełnił twoje życzenie.

Rabbi Goldenhirsch wciąż nie mógł dojść do siebie, oszłomiony rzekomym cudem. Czuł także nieprzyjemne bulgotanie w jelitach.

– To było niepokalane poczęcie – oświadczyła fachowo Ryfka.

– Bzdura – odpowiedział. – Każde poczęcie jest skalane, a to w szczególności. Kto jest ojcem?

– Ojcem jest Bóg – upierała się małżonka. – Odwiedził mnie anioł.

Rabbi wznosił ręce i podjął na nowo wędrówkę po izbie. Kiedy zapadła noc, a on nie zbliżył się nawet o krok do zgłębienia tego misterium, uznał, że zasłużył na przerwę. Burczenie w kiszkach przybrało tymczasem na sile i głośności.

– Zaraz wracam – oznajmił.

Zdjął z haczyka duży klucz do waterklozetu, wypadł z mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi. Pośpieszył po schodach wyżej na półpiętro, gdzie czekał na niego cud nowoczesności.

* Jidysz: „gwałt chrztu” (przyp. tłum.).

Cud był zajęty.

Po kilku minutach mniej lub bardziej niecierpliwego oczekiwania i kołysania się na palcach stóp uczony w Piśmie poczuł ukłucie niepokoju i zapukał. Ze środka usłyszał ochrypły głos. Zaszleścił papier. W końcu, gdy na ciemnej, zimnej klatce schodowej upłynęła chyba wieczność, drzwi się otworzyły.

Z pomieszczenia wyszedł sąsiad z góry, ślusarz Mosze. Mruknął coś niezrozumiale, pewnie pozdrowienie, i szybko odwrócił głowę. Następnie przesunął się ukradkiem obok Lejba w stronę schodów. Wydawał się za duży w stosunku do swojego ciała. Ubrany był w jakieś łachmany, ruchy miał niezborne, jak zapewne i myśli. Istny golem. Rabbi popatrzył za nim.

Wtem przyszło mu coś do głowy.

– Panie sąsiedzie! – zawołał.

– Tak?

Ślusarz utkwiał w nim spojrzenie. Zawsze istniała między nimi pewna niechęć. Rabbi uważał ślusarza za durnia, a ten uważał rabbiego za aroganckiego błazna. Lejb popatrzył Moszemu w oczy, mając nadzieję, że coś w nich odkryje, może cień poczucia winy.

– Chciałem pana o coś zapytać – zaczął ostrożnie.

Mosze nie spuszczał z niego oczu. I nie było po nim widać, żeby poczuwał się do jakiejś winy.

– No więc chodzi o to... – Więcej Lejb Goldenhirsch z siebie nie wydobył. Słowa uwięzły mu w gardle niczym woda w piasku.

– Tak?

Wziął się w garść.

– Chodzi o zamek.

– Co z nim?

– Nie mogę otworzyć – odparł rabbi. – Wkładam klucz i obracam, ale... – Zebrał myśli. – Nic się nie dzieje.

– To musi być sprawa klucza – oświadczył Mosze protekcjonalnym tonem solidnego fachowca, który rozmawia z laikiem.

Lejb został sam na tonącej w półmroku klatce schodowej. Nagle usłyszał, jak Mosze woła do niego z góry:

– Rabbi? Jest pan tam jeszcze?

– Jestem – potwierdził.

Przez kilka sekund panowała cisza, po czym znowu rozległ się głos Moszego. Drżący.

– Proszę mi przebaczyć – powiedział ślusarz tak cicho, że jego słowa prawie pochłonęły ciemności.

– Ale co?

Kolejna pauza. A potem rabbi usłyszał pojedynczy rozpaczliwy szloch, który wydawał się dobiegać z pustki.

– Tak bardzo mi jej brakuje – dokończył Mosze.

Ciężkim krokiem pokonał ostatnie drewniane stopnie, uciekł do swego mieszkania i zatrzasnął drzwi.

Rabbi zupełnie osłupiał.

Przez okrągłe okno na klatce schodowej widział pokryte śniegiem dachy połyskujące w świetle księżyca. Widok był taki piękny, że graniczył z cudem. I wówczas rabbi odruchowo pomyślał o tym, że jedynie wiara zdolna jest czynić cuda.

Obserwował, jak chmura nasuwa się na jasny, błady księżyc. Rabbi się zamyślił. Jeśli chmura całkowicie zasłoni księżyc, potraktuje to jako znak od Boga. I uzna ciężę za cud.

Patrzył jak urzeczony, jak chmura powoli wędruje po nocnym niebie.

A później zakrywa księżyc. Przez chwilę stał w kompletnych ciemnościach, jak na początku świata.

Wkrótce potem chmura poszybowała dalej, a mleczne

światło księżyca padło na jego twarz. Napięcie ustąpiło. Stał, dygocząc z zimna. Własne uczucia wydały mu się nagle bezdennym morzem. Fale wdzięczności i miłości wypłynęły na powierzchnię i wyciskały mu słone łzy na policzki.

Wziął głęboki oddech i otworzył waterklozet. Wszedł do środka, zamknął drzwi, rozpiął spodnie, podniósł kaftan i usiadł. Każde dziecko to dar, pomyślał i postanowił je przyjąć. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłąda. Będzie miał syna.

Koniec wszystkiego

Długo czas potem, na początku dwudziestego pierwszego wieku, mieszkał w Nowym Świecie, w Mieście Aniołów, chłopiec nazwiskiem Max Cohn. Niecałe trzy tygodnie przed jego jedenastymi urodzinami rodzice poszli z nim do japońskiej restauracji przy Ventura Boulevard i powiedzieli mu, że się rozwodzą. Naturalnie nie wyznali mu tego od razu. Przez większość wieczoru udawali, że wszystko jest jak zawsze. Ale Maxowi coś nie pasowało. Po prostu byli dla niego zbyt mili. Od początku coś podejrzewał. Jego najlepszy przyjaciel, Joey Shapiro, kilka miesięcy wcześniej przeszedł coś bardzo podobnego i z tego powodu w klasie uważano go za swego rodzaju tragicznego bohatera, którego w równej mierze podziwiano i żałowano. Joey skosztował gorzko-słodkiego nektaru tragedii i znalazł się tym samym o krok bliżej dorosłości niż reszta czwartej A.

Joey dał wtedy Maxowi mądrą radę:

– Pójdą z tobą do restauracji i zapytają cię, na co masz ochotę. – Pochylił się nad nim i szepnął: – Ja powiedziałem: pizza. I to był mój błąd.

– Jak to? – spytał Max, a w duchu pomyślał: Jak pizza może być błędem?

– Poszliśmy do Mickey's Pizza Palace.

Wszyscy znali Mickey's Pizza Palace. Sieć barów typu fast food dla dzieci, gdzie były nie tylko olbrzymie pizze, ale i kącik zabaw, gry wideo i wiele innych atrakcji. To tam Max chciał obchodzić swoje urodziny.

– No i co?

– Zamówiłem średnią pizzę z salami i dodatkową mozzarellą.

– I co dalej?

– A potem mi powiedzieli, że się rozwodzą. No i siedziałem tam jak głupek nad swoją pizzą... – Joey wydał dziwny odgłos przypominający kaszel i odwrócił głowę. – Już nigdy nie tknę pizzy.

Max był zszokowany. No jasne, rodzice się rozwodzą, takie rzeczy się zdarzają, ale do tej pory myślał, że pizza należy do niewielu rzeczy w życiu, na których można polegać. Rzeczy, których można się trzymać.

Był przekonany, że jego rodzice nigdy nie zrobią czegoś takiego. Kochali go i siebie nawzajem, przypuszczalnie kochali też Hugona, domowego króliczka, urocze zwierzątko o białej sierści i różowym nosku, które przeważnie siedziało w klatce i milutko patrzyło przed siebie. I to wszystko. Przynajmniej tak sądził. Wkrótce potem odniósł jednak wrażenie, że jest coś, co początkowo mu umknęło, drobne oznaki wskazujące na ukrytą prawdę. Widział, jak mama pociąga nosem i ociera oczy chusteczką, a jej zwykle staranny makijaż wydawał się lekko rozmazany. Rzuciło mu się w oczy, że *dad* nie spędza już w domu tyle czasu. Dłużej zostawał w biurze i także w weekendy miał „coś do zrobienia”. Czasami przez całą noc spał na kanapie

w salonie przy włączonym telewizorze, na co Max nigdy nie mógłby sobie pozwolić. Drzwi, które wcześniej były otwarte, teraz regularnie zamykano. Coś tu się nie zgadzało, czuł to.

A gdy pewnego dnia wrócił ze szkoły, rzucił niedbale rower na trawnik i wbiegł do domu, ujrzał rodziców, którzy siedzieli sztywno jak kołki na kanapie i jakby na niego czekali. Powitali go wymuszonymi uśmiechami.

– Co byś powiedział na to, żebyśmy poszli zjeść do restauracji? – zagadnął *dad*, ale jego głos był odrobinę zbyt radosny i brzmiał zbyt donośnie. W głowie Maxa odezwał się dzwonek alarmowy. – ...Tam, gdzie ty chcesz – usłyszał jeszcze, jak tata dopowiada.

– Co? – zapytał chłopiec.

– Co byś chciał zjeść?

Max zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

– Może sushi?

Rodzice popatrzyli na niego ze zdumieniem.

– Jesteś pewny, kochanie? – spytała *mom*.

– Tak – potwierdził Max.

Było mu wszystko jedno, czy jeszcze kiedykolwiek będzie jadł surową rybę.

Poszli więc na sushi. Max zamówił tuńczyka, miecznika i ikrę jeżowca, choć według taty jeżowce nie są koszerne. Ikra okazała się tak obrzydliwa, że omal nie zwymiotował, a gdy rodzice nagle tręcili się łokciami i powiedzieli mu, że go bardzo, bardzo kochają i że dla niego absolutnie nic się nie zmieni, zaczerwienił się i musiał przełknąć ślinę, żeby nie wybuchnąć płaczem. Zaczął dygotać. Usta miał pełne rybich jajeczek czy czegoś innego i powtarzał sobie w duchu raz za razem: Pizza, przynajmniej pizza mi pozostanie.

* * *

Do niedawna życie Maxa Cohna biegło spokojnym rytmem. Był normalnym dziesięcioletkiem, patykowatym, z bladą cerą i potarganymi rudymi włosami. Nosił okulary, które *mom* sklepiła mu taśmą izolacyjną, kiedy *dad* pewnego dnia usiadł na nich niechcący. Max z rodzicami mieszkał w małym domu w Atwater Village. Tata był „prawnikiem od licencji muzycznych”, cokolwiek miało to znaczyć, a mama prowadziła mały butik przy Glendale Boulevard, gdzie sprzedawała meble z Azji i inne tego rodzaju rupiecie. Do rodziny należało także zwyczajowe zbiorowisko ciotek, wujów i kuzynów. Najgorsi byli na pewno wuj Bernie i ciotka Heidi, którzy ciągle się kłócili. A poza tym była jeszcze babcia, neurotyczna i męcząca kobieta, która mieszkała po drugiej stronie gór, gdzieś w dzikich okolicach San Fernando Valley, w zapomnianej przez Boga miejscinie o nazwie Encino.

Wiadomość o rychłym rozwodzie rodziców Maxa rozeszła się w szkole lotem błyskawicy, zwłaszcza w czwartej A. Joey Shapiro nawet go objął, a pozostali nie uznali tego zachowania za gejowskie. Dziewczyny patrzyły na niego zupełnie innymi oczami, a Myriam Hyung – z którą do tej pory właściwie nic go nie łączyło – podeszła do niego na przerwie i powiedziała:

– Naprawdę mi przykro, mam na myśli twoich rodziców.

Głupie gadanie, pomyślał. Ale Myriam była przecież tylko dziewczyną, niezdolną do wielkiej mądrości, nie chciał odrzucać jej marnych wysiłków w celu okazania ludzkiego współczucia. Dlatego wspaniałomyślnie przyjął jej kondolencje i krótko skwitował:

– No, zdarza się.

Od tego dnia stał się mężczyzną. Rozwód rodziców, mówił sobie Max, jest twoją prawdziwą bar micwą. Rytuałem inicjacyjnym, który czyni chłopców mężczyznami. Zdawał sobie sprawę,

że wielu uczniów w jego klasie pochodzi z „rozbitych rodzin”, jak zwykła mawiać rabinka Hannah „Lesba” Grossman.

Rozbita rodzina z początku była super. Wszystko zostało po staremu z tą tylko różnicą, że *mom* sypiała teraz w sypialni rodziców, a *dad* na kanapie w salonie, co było trochę denerwujące, bo w salonie stał też telewizor, który Max uważał dotychczas za swoją własność. Teraz *dad* ciągle oglądał programy sportowe. Ale były też dobre strony. Bądź co bądź Max mógł przywdziać szatę męczennika. Uwagę i komiksami obdarowywany był w mierze przekraczającej wszystko, co znał do tej pory. *Dad* kupił mu nowego „Spider-Mana” i od razu kilka zbiorów przygód „Batmana”. Wcześniej Max zawsze musiał wybierać: Marvel albo DC. *Dad* mówił, że w życiu trzeba dokonywać wyborów i podejmować decyzje. Totalna bzdura, jak się okazało. Można było mieć wszystko. A więc na tym polega bycie dorosłym. Rozstanie rodziców było niewątpliwie najlepszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić jego kolekcji komiksów.

Ale w głębi serca chował troskę. Nosił w sobie pewną tajemnicę, a mianowicie wiedział, dlaczego rodzice się rozwodzą: to była jego wina! Co prawda *mom* powiedziała, że powodem rozwodu jest „ta zdzira trenerka jogi”, ale Max znał prawdę.

Zdarzyło się to parę tygodni przed brzemiennym w skutki wyjściem do restauracji na sushi. Max miał jak zwykle posprzątać klatkę Hugona. *Mom* kolejny raz mu przypomniała, że ostatecznie to on chciał mieć tego przekłętego królika. Max poprosił tatę, żeby ten jeden raz zrobił to za niego: proszę, proszę, proszę – bo bardzo chciał pójść z Joeyem Shapiro do kina. Ale *dad* powiedział „nie”. Doszło do kłótni, Maxowi puściły nerwy, zaczął stroić fochy, a wtedy *dad* tym bardziej obstawał przy swoim zdaniu.

Max musiał więc sprzątać królicze łajno, zamiast pałaszować popcorn i cukierki lodowe w klimatyzowanym kinie. To była wielka niesprawiedliwość! Kiedy w końcu – wśród szemrania i protestów – wyniósł torbę ze śmieciami, w drzwiach stanął *dad* i popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Nie tym tonem, młody człowieku! – powiedział. – Tak nie będziemy się bawić. Jeśli jeszcze raz urządzisz taki cyrk, oddamy Hugona do schroniska.

Max wyrzucił królicze łajno przepisowo do pojemnika na śmieci, ale czuł przy tym, jak wzbiera w nim wściekłość i burzy się krew. Oddać Hugona, jaka ohydna groźba!

Wtem ujrzał obok kosza leżącą na ziemi jednocentówkę. Babka powiedziała mu kiedyś, że gdy się znajdzie taką monetę, można sobie czegoś życzyć. Trzeba tylko wziąć pieniądze do ręki, pomyśleć jakieś życzenie i zamknąć przy tym oczy, a wtedy ono się spełni. Nikomu jednak nie wolno go zdradzić.

Podniósł więc monetę, zacisnął jak najmocniej powieki i zazyczył sobie, żeby *dad* zniknął. Tak po prostu. Kiedy otworzył dłoń, jednocentówka leżała na niej na pozór niewinnie. Max usłyszał odległy grzmot pioruna w San Gabriel Mountains. Zaraz będzie padać. Nagle poczuł się winny. Rozejrzył się wokół i zmusił do pomyślenia szybko o czymś innym, ale było już za późno. Ktoś – może Bóg? – musiał usłyszeć jego życzenie.

Przez kilka tygodni nic się nie działo i chłopiec pomyślał, że może jednak uniknie kary. Aż do wieczoru w restauracji z sushi. Wtedy już wiedział, że ściągnął kłatwę na swoją rodzinę. Z wyjątkiem królika, on na razie miał się dobrze.

Z początku Max starał się zbyt często nie rozmyślać o swojej odpowiedzialności za tragedię. Zamiast tego cieszył się owocami rychłego rozstania rodziców. Także *mom* zaczęła mu dawać hojne

prezenty, przypuszczalnie dlatego, że chciała być lepsza od taty.

– Możesz zażyczyć sobie na urodziny, co tylko chcesz – powiedziała.

Ewidentna próba kupienia jego uczuć. Ale każdy człowiek ma swoją cenę, a w przypadku Maxa nie była ona szczególnie wysoka.

– Obojętne co?

Każdy nowy prezent, każda nowa zabawka dawana mu przez rodziców była dowodem miłości. Jednak dowody szybko zaczęły tracić moc. W jego życiu nie było już nic stałego. Wszystko zaczęło się zmieniać, a Max nieszczęśliwie lubił zmiany. Rozbita rodzina wcale nie była tak bardzo *cool*. Przeciwnie, zdał sobie sprawę, że niesie to pewne konsekwencje. Że musi właśnie nauczyć się czegoś ważnego, odrobić taką samą lekcję jak jego bohaterowie – Spider-Man i Joey Shapiro – i że to będzie ciężka próba.

Harry i Debora Cohnowie z ogromnym trudem zdołali powiedzieć synowi o rozwodzie. Zwłaszcza Harry obawiał się tej chwili. W życiu prywatnym unikał konfrontacji. Debora miała z tym mniej kłopotów. Choć oficjalnie wyznawała buddyzm, podczas konfliktów wydawała się wprost rozkwitać. Harry nazywał ją zawsze „wściekłą buddystką”. Nie uważała tego za dowcipne. Ostatnimi czasy właściwie już nic, co dotyczyło jej przyszłego eksmęża, nie było według niej zabawne. Sama jego obecność doprowadzała ją do szewskiej pasji. Jak on powłóczył nogami, chodząc po domu! Jego cechy, które wcześniej uważała za ujmujące, przyprawiły ją teraz o białą gorączkę. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się wyprowadzi.

Ale naturalnie był jeszcze Max. Ze względu na niego roz-

ważała nawet możliwość odwołania rozwodu. Właściwie to Harry rozważał, nie ona.

– Chcę, żebyś się wyprowadził – oświadczyła stanowczo.

Nie chciała go ukarać, a przynajmniej nie tylko. Jego romans wstrząsnął nią do szpiku kości. Po prostu chciała się go pozbyć. Mąż przypominał plaster, który musiała zerwać. Im szybciej, tym lepiej.

– Ale co z Maxem? – zapytał Harry płaczącym głosem.

– Jeśli chodzi o Maxa, to lepiej, żebyś nie sprawował nad nim opieki – odparła.

I znowu się zaczęło. Próbowali traktować się w sposób cywilizowany, ale prawie każda rozmowa zamieniała się w głośną kłótnię.

– A jak mu to powiemy? – spytał w pewnej chwili Harry.

– Powiniście mu to przekazać w oględnych słowach – poradziła im Mrs. Shapiro, która miała już w tym względzie doświadczenie. – I jeszcze coś: pójďte z nim do restauracji.

Debora skinęła uprzejmie głową i nawet zapisała notatkę w komórce.

I tym sposobem Debora Cohn pewnego pięknego przedpołudnia jechała autostradą w kierunku Woodland Hills. Kancelaria Gutierrez & Partners mieściła się w trzypiętrowym przeszklonym biurowcu, monumencie bezguścia. Wewnątrz było niewiele lepiej. W recepcji wisiał obraz przedstawiający psy przy grze w pokera. Kto kupuje coś takiego?, pomyślała. Po chwili została wezwana do biura Mr. Gutierrez, głównego wspólnika i specjalisty od prawa rozwodowego.

Mr. Gutierrez jak na swą profesję był człowiekiem nienaturalnie radosnym, tęgawym, wesolutkim katem miłości o słabym uścisku dłoni.

– Co mogę dla pani zrobić?

Opisała mu sytuację, słuchał w milczeniu, czasem kiwając głową. Po rozważeniu paru kwestii Harry i Debora zdecydowali się na „rozwód za porozumieniem stron”. Ten termin, który Debora znalazła w Internecie, jasno i wyraźnie wskazywał, że w sprawie opieki nad dzieckiem i podziału majątku porozumieją się poza sądem. Mr. Gutierrez wydawał się lekko zde gustowany, gdyż cieszył się już, że będzie do rozliczenia sporo dobrze płatnych roboczogodzin.

Rozwód za porozumieniem stron jest w zasadzie bardzo prosty, oświadczył. Debora złoży w sądzie papiery, które zostaną przekazane Harry’emu. Kiedy strony się dogadają co do warunków ramowych, pozew rozwodowy zostanie złożony w Sądzie Najwyższym hrabstwa Los Angeles, gdzie zajmie się nim wyznaczony sędzia. Jeśli wszystko zostanie zaakceptowane, obie strony podpiszą papiery i załatwione.

W ciągu kilku tygodni będą rozwiedzeni i oddzielą grubą kreską dotychczasowe wspólne życie.

Ze ślubem było o wiele więcej zachodu, pomyślała Debora.

Dla Harry’ego i Debory jedno było jasne: nie chcieli skazywać Maxa na oglądanie wieloletniej wojny rodziców przed sądem. Poza tym nie powinien być zmuszony wybierać między nimi. Uzgodnili już nawet, jak to będzie, gdy Harry się wyprowadzi, z czym według Debory zwlekał już nazbyt długo. Ona będzie się zajmować synem w tygodniu, a on zawsze od piątku do niedzieli. Będzie go zabierał ze szkoły i do niej odstawiał w poniedziałek rano, żeby ograniczyć do minimum kontakty z Deborą.

Dla wszystkich zainteresowanych nastały ciężkie czasy. Harry zaczął znowu pić, a Debora palić. Cierpiało także ich życie zawodowe. Debora zawałała spotkania z hurtownikami

i klientami, chociaż rzuciła się jak opętana na portale internetowe i różne komunikatory, a Harry ciągle zjawiał się w pracy spóźniony i skacowany. Koledzy przez jakiś czas patrzyli na to przez palce. Harry uznał, że mu współczują, a panie z biura dbały o niego troskliwie. Nie mógł się jednak skoncentrować, a jego efektywność wyraźnie spadła.

Oboje mieli wrażenie, że życie wymyka im się z rąk, jak piasek przeciekający przez palce.